

Przegląd Wileński

PISMO POŚWIĘCONE SPRAWOM KRAJOWYM

REDAKCJA I ADMINISTRACJA:

Wilno, Uniwersytecka № 9 m. 9.
Czynne od g. 1 — 3 prócz świąt.

CENA OGŁOSZEŃ: 1/1 strona — 80 zł.
1/2 " — 40 "
1/4 " — 20 "
1/8 " — 10 "

Prenumerata kwartalna wynosi 1 zł. 50 gr.

Bez zmiany.

Cała prasa polska zamieszcza artykuły i sprawozdania swych genewskich korespondentów o przebiegu sesji Ligi Narodów, utrzymane w tonie nader minorowym. I nic dziwnego. Wszystkie oczekiwania i zapowiedzi w zupełności zawiodły. Mimo, że prof. Voldemaras mówił rozwlekle i — jak twierdzi p. Cat — nietaktownie, mimo, że audytorjum było usposobione doń niechętnie, celu swego dopiął w zupełności. Liga Narodów nie powzięła żadnej stanowczej decyzji, nie pociągnęła do odpowiedzialności rządu litewskiego za jego obstrukcyjne stanowisko w rokowaniach z Polską, nawet nie wywarła nań żadnego nacisku, poprzestając na ponownem zaleceniu obu stronom dalszego prowadzenia pertraktacji i wyrażeniu nadziei, że zostaną one pomyślnie zakończone. Przedstawiciel Litwy przyjął to zalecenie do wiadomości i zaproponował ministrowi Zaleskiemu wznowienie rokowań w d. 3 listopada w Królewcu, na co otrzymał zgodę. Dziś już dla nikogo nie ulega wątpliwości, że taktyka prof. Voldemarasa zmierza jedynie do przewleknięcia w nieskończoność sprawy nawiązania stosunków dyplomatycznych i komunikacyjnych między Litwą a Polską i że Liga Narodów wobec niej jest najzupełniej bezsilna.

To też prasa polska nie szczędzi gorzkich słów pod adresem Ligi Narodów, rozwodząc się szeroko nad jej kompromitacją i przepowiadając jej rychłe ostateczne bankructwo. A wszystko dlatego, że się nie spełniły nadzieje dziennikarzy warszawskich i puste pogrożki pod adresem p. Voldemarasa okryły ich śmiesznością. Dziwić się należy, że prasa polska żywi pretensje wyłącznie do Ligi Narodów, a nie stawia żadnych zarzutów ministrowi Zaleskiemu, który przecież również zachował się całkiem niezgodnie z jej wskazaniem i pragnieniami. Nie groził, nie

stawiał żadnych żądań ultymatywnych, zajął pozycję bierną i wyczekującą. Najwidoczniej dyplomacja polska orientuje się doskonale, że zatarg polsko-litewski nie jest sprawą tak prostą i łatwą, jak się to wydaje politykom kawiarnianym.

P. Cat w korespondencji z Genewy z naciskiem podkreśla, że wynik sesji Ligi Narodów nie może być nazwany niepowodzeniem Polski. „Niepowodzenie następuje wtedy, gdy komuś coś się nie udaje, gdy ktoś chce coś otrzymać, a tego nie otrzymuje. Delegacja polska, wyjeżdżając do Genewy, najwyraźniej, jak się zdaje, zdawała sobie sprawę, że Liga w niczem nie wpłynie na bieg polsko-litewskich rokowań. Delegacja polska nie wiozła z sobą do Genewy żadnych w tej sprawie wniosków”.

Jeżeli tak, to czemu prasa polska, nawet ta jej część, która czerpie natchnienie i informacje z pałacu Brühlowskiego wprowadzała w błąd opinię publiczną, zapowiadając jakieś stanowcze kroki ze strony Polski na forum Ligi Narodów, przyciśnięcie do muru p. Voldemarasa i zmuszenie go do kapitulacji? Niektórzy publicyści, bardziej krewkiego temperamentu, dawali nawet niedwuznacznie do zrozumienia, że w razie nieotrzymania od czynników międzynarodowych zadośćuczynienia za ogłoszenie w nowej konstytucji litewskiej Wilna stolicą Litwy, Polska sama sobie wymierzy satysfakcję. A tymczasem delegacja polska w Genewie wcale nawet nie poruszyła tej drażliwej kwestji, prawdopodobnie wystrzegając się najłżejszego nawet potrącenia o problem wileński!

Teraz prasa polska spuściła z tonu i przemawia o wiele spokojniej i rozsądniej. Krakowski „Głos Narodu” zaleca jako jedyne lekarstwo na litewski upór Voldemarasa — cierpliwość. „Uzbrójmy się zatem w cierpliwość. Nie spodziewajmy się zbyt wiele i nawet nie żądajmy od Voldemarasa zbyt wiele. Jeśli się okaże, że Liga Narodów nie potrafi go zmusić do przyjęcia posła polskiego w Kownie a nie

w „stolicy Litwy”, Wilnie, to nie żądamy nawiązania normalnych stosunków dyplomatycznych. *Jeśli o żądanie bezpośredniej komunikacji kolejowej miały się znowu rozbić rokowania, to kto wie, czy nie lepiej byłoby na początek zadowolić się komunikacją przez Łotwę lub Prusy Wschodnie.* Musimy mieć cierpliwość. Jeśli zawiedzie Liga Narodów to i Polska sama Litwę do niczego nie zmusi, dopóki ona może liczyć na pomoc Rosji i Niemiec.

„Polityka nasza musi być planową i konsekwentną. Jeśli wznowimy rokowania z Voldemarąsem, to nie powinniśmy dopuścić, by znowu kiedyś mógł p. Hołowce czy innemu dyplomacie zarzucać popieranie emigrantów litewskich chcących wywołać na Litwie rewolucję. Jeśli będziemy rokować w sprawie traktatu o nieagresji i przyjaźni, nie pozwólmy, by zagranicą szerzyły się fantastyczne wieści o jakiejś koncentracji oddziałów polskich przeciwko Litwie.

„Nawiązanie normalnych stosunków z Litwą byłoby bardzo pożytecznym, ale nie jest koniecznością. Bez Litwy możemy się obejść. Im bardziej będzie Wileńszczyzna od Litwy odcięta, tem bardziej i szybciej zrośnie się z Polską gospodarczo i kulturalnie. Wzmocnienie żywiołu polskiego i podniesienie poziomu życia gospodarczego w tej „okupowanej Litwie”, jak się wyraża Voldemaras, oto ważne zadanie na najbliższe lata.

„Niezależnie zaś od rokowań z rządem Voldemarasa *trzeba nawiązywać stosunki z narodem litewskim.* Voldemaras i jego stronnicy to nie cały naród litewski. Trzeba Litwinom ułatwić poznawanie Polski, a zwłaszcza „litewskiego” Wilna, trzeba wytrwale pracować nad wykorzenieniem nienawiści do Polski i jej kultury. Ta praca przygotowuje grunt do trwałego i szczerego porozumienia obu państw, które niegdyś też ze sobą wojowały, by potem przez długie stulecia żyć w braterskiej zgodzie”.

Melanchoja i rezygnacja, jakie wieją ze słów powyższych odbijają rażąco od poprzednich bezmyślnych pogroźek i buńczucznej postawy ogromnej większości prasy polskiej. Istotnie nigdy nie mogliśmy zrozumieć, dlaczego Warszawie tak bardzo zależy na nawiązaniu stosunków z Kownem i dlaczego polityka polska postawiła sobie niejako za punkt honoru przełamanie uporu p. Voldemarasa. Zdawałoby się, że może to leżeć w interesie jedynie Wilna i Kowna, tymczasem rząd litewski właśnie odrzuca kategorycznie wszelką myśl o bezpośredniej komunikacji między Litwą kowieńską a Litwą wileńską, rząd polski zaś zajmuje stanowisko takie, jakby za wszelką cenę chciał położyć kres dotychczasowej izolacji Wileńszczyzny. Jakaś niezrozumiała zamiana ról!

Zwraca uwagę w przytoczonym artykule „Głosu Narodu” ustęp, w którym jest mowa o nawiązaniu stosunków z narodem litewskim po nad głową, że się tak wyrazimy, prof. Voldemarasa. Zwraca uwagę dlatego, że nie jest to pierwszy głos tego rodzaju. Wspomniał o tem również minister Zaleski w wy-

wiadzie z genewskim korespondentem „Petit Parisien”, a raczej taki wniosek wysnuła redakcja tego dziennika z wynurzeń ministra. Należy więc sądzić, że w kołach politycznych polskich panuje mniemanie, jakoby największą przeszkodę w unormowaniu stosunków polsko-litewskich stanowiła osoba prof. Voldemarasa. Nie wydaje się nam, aby to przeświadczenie było uzasadnione. Prezes ministrów litewskich niewątpliwie w sprawie wileńskiej jest wyrazicielem poglądów i nastrojów szerokiego ogółu litewskiego. Przecież również nieprzejednane stanowisko zajmowały wszystkie rządy poprzednie, zarówno chrześcijańska demokracja, jak ludowcy. Może socjaliści byliby usposobieni bardziej pojednawczo, ale po pierwsze trudno mieć nadzieję, by socjalna demokracja ujęła w Litwie w bliskiej przyszłości rządy w swe ręce, a po drugie aby znaleźć wspólny język z socjalistami litewskimi potrzeba ustalenia się również w Polsce ustroju szczerze demokratycznego.

Inna rzecz, że byłoby bezwątpienia objawem niezmiernie pożądanym, gdyby czynniki społeczne po tej i tamtej stronie kordonu, zupełnie niezależnie od polityki urzędowej i gry dyplomatycznej, zapoczątkowały jakąś akcję porozumiewawczą i wystąpiły z własną koncepcją rozstrzygnięcia spornej kwestii wileńskiej na podstawie kompromisowej. Ale w dobie dyktatury jednostek niema co się spodziewać podobnej inicjatywy z łona społeczeństwa. Siły społeczne są rozbite, zdemoralizowane lub głęboko uśpione. Musimy czekać w pokorze ducha, nim mężowie opatrnościowi nie wygrają wszystkich swych atutów ..

Wilno a legjony.

W związku ze zjazdem legjonistów, który się odbył w Wilnie w połowie sierpnia, ukazały się dwa wydawnictwa okolicznościowe: „*Wilno — Legjony*” — praca zbiorowa, na którą się złożył szereg artykułów i wspomnień, gęsto przeplatanych utworami wierszowanymi oraz „*Stosunek Wilna do Legjonów*”, pióra p. Wacława Studnickiego.

Razem dają one sporo surowego materiału, który pomoże z czasem historykowi wysnuć ogólniejsze wnioski o roli Wilna w polskim ruchu niepodległościowym, uosobianym początkowo przez związki strzeleckie, tworzone w Galicji, a następnie przez legjony.

Nie wszystkie przyczynki, zamieszczone w tych wydawnictwach dotyczą wymienionego w tytule tematu. „Kilka nieuporządkowanych wspomnień z lat przeszłych” Z. Nagrodzkiego sięgają czasów o wiele bardziej odległych, bo jeszcze z przed rewolucji 1905 r. i żadnego związku oczywiście z legjonami nie mają, dając obraz wysiłków grona inteligentów wileńskich na polu nielegalnej pracy oświatowej. Obrazek M. Reuttówny, opisujący wejście do Wilna oddziałów gen. Żeligowskiego w d. 9 października 1920 r. również znalazł się w zbiorze chyba przez niedopatrzanie komitetu redakcyjnego, bo co mają

wspólnego akcja gen. Żeligowskiego i on sam (mimo, że portret jego figuruje obok portretów Prezydenta Mościckiego i Marszałka Piłsudskiego) z ruchem iredentystycznym, który znalazł swój wyraz w legionach a głosił hasła walki z caratem.

Może zresztą nie jest to niedopatrzenie komitetu redakcyjnego, jeno zgola odmienna interpretacja idei legionowej, która z biegiem czasu uległa wypaczeniu i nabrała wybitnego charakteru militarystyczno-imperjalistycznego, którego nie miała wcale, gdy na Błoniach krakowskich ćwiczyły się pierwsze oddziały strzeleckie, wyszydzane i lekceważone przez obojętny, zrównoważony i trwożliwy ogół.

Dziś legjony stały się świętością narodową, bo reprezentują siłę i władzę, dlatego też w komitecie organizacyjnym VII Zjazdu legionowego w Wilnie widzimy nazwiska tych samych obywateli miejscowych, którzy przed wybuchem wojny wyśmiewali się, oburzali i surowo potępiali „najmitów austriackich”. Szkoda, że w zbiorze omawianym nie znalazło się miejsca dla wspomnienia o pobycie w Wilnie w końcu 1913 r. Michała Sokolnickiego, któremu redakcja „Przeglądu Wil.” ułatwiła wygłoszenie tu paru odczytów, rzecz prosta, zakonspirowanych o ruchu strzeleckim. Spotkał się wówczas ów gorący rzecznik idei legionowej z tak obojętnym, niechętnym, a nawet mroźnym przyjęciem, że wyjechał czempredziej zrażony i przygnębiony, nie będąc pewny nawet osobistego bezpieczeństwa. A nie były to obawy bezpodstawne, bo, mimo starannego doboru słuchaczy, wiadomość o pobycie prelegenta strzeleckiego dotarła szybko do uszu żandarmerji i redaktorowi „Przeglądu Wil.”, wezwanemu na badanie udało się wykręcić od surowej odpowiedzialności jedynie dzięki temu, że przedstawiciel władz bezpieczeństwa zupełnie się nie orjentował w nastrojach i kierunkach politycznych wśród społeczeństwa polskiego.

Idea legionowa przed wybuchem wojny i na jej początku była jedną z form walki o wolność, zmagania się z przemocą carskiej Rosji, obcą jej była wszelka zaborczość, daleką była od egoizmu narodowego. To też szerokie koła sfilistrzałej inteligencji traktowały ją obojętnie lub nawet wrogo, dla mas była ona całkiem niezrozumiałą i tylko nieliczne jednostki nastrojone rewolucyjnie sympatyzowały z nią i popierały ją gorąco.

Dlatego też, poza garstką zapalnej młodzieży szkolnej, zawsze i wszędzie ożywionej animuszem wojennym, nawoływania do walki zbrojnej z Rosją nie znajdowały na gruncie wileńskim żadnego odzewu. Legjony wydawały się przedsięwzięciem zgola niepojętym, dalekim, niemal egzotycznym. Nie budziły nawet większego zainteresowania. Gdy piszący te słowa w listopadzie 1914 r. przedarł się przez front i zbadawszy ówczesny stan akcji legionowej, via Wiedeń i Bukareszt wrócił do kraju i zdawał sprawozdanie ze swej wycieczki w Wilnie, zebrało się go wysłuchać zaledwie szczupłe grono ciekawych, a i wśród tych nielicznych słuchaczy przeważał nastrój sceptyczny. Nie większe powodzenie miał i Stanisław Downarowicz, delegat N. K. N., który wśladał z nim przybył tu z Wiednia. Ogromna większość społeczeństwa polskiego w naszym kraju miała orientację wyraźnie rusofilską. Hasła niepodległościowe żadnego entuzjazmu nie budziły. Przed okupacją niemiecką bodaj, że tylko dwóch ochotników wyruszyło z Wilna do legionów: artysta-malarz Franciszek Jurjewicz, zdecydowany romantyk, mimo podeszłego wieku rwący się do szabelki i konika,

oraz Michał Römer, konsekwentny zawsze patriota litewski, jeden z niewielu, który jasno uświadomił sobie, że wskrzeszenie niepodległej Polski jest warunkiem nieodzownym niepodległości Litwy i który, zdaje się, wierzył głęboko, że wolna Polska poda szczerze pomocną dłoń wyzwajającej się z kolei Litwie.

Dopiero porażka Rosji, surowa okupacja niemiecka, tworzenie państwowości polskiej oraz wojska polskiego po akcji 5 listopada wywołały w Wilnie, większe zainteresowanie dla legionów, popularność zaś i sympatję wśród ludności wileńskiej zdobyły one zaledwie w r. 1919, gdy wkroczyły zwycięsko do miasta po wyparciu z niego bolszewików t. j. wtedy już, gdy stały się czynnikiem decydującym na naszym terenie, gdy runęła w proch potęga caratu, a groźne Niemcy legły obezwładnione u stóp triumfującej koalicji.

Dopiero, gdy Polska zmartwychpowstała, gdy się wzmocniła i stała się filarem ładu i porządku na wschodzie Europy, Wilno zapalało sentymentem do legionów, znalazło dla nich wyrazy uznania i podziwu. O tem nie należy zapominać i to należy wyraźnie podkreślić.

Dziś gdy dzieło Piłsudskiego uwieńczone zostało powodzeniem i nabrało szablonowego i banalnego wyglądu, spieszą z wyrażeniem mu hołdu i rozwodzą się nad mądrością romantycznego nakazu: „mierz siły na zamiary” ci sami, którzy wzruszali swego czasu ramionami nad zbrodniczym szaleństwem garstki niepoprawnych marzycieli..

Ale bo też dziś idea legionowa przeżyła się i wykoszlawiła, a legjony są dziś już nie symbolem walki o wyzwolenie, lecz wyrazem triumfującej siły i dążenia do panowania.

L. A.

Wątpliwy rezultat.

O Targach—Wystawie tyle już pisano w prasie wileńskiej w tonie panegirycznym, że nie zaszkodzi nieco uwag krytycznych, nasuwających się przy bezstronnej ocenie organizacji, celów i założeń tego przedsięwzięcia.

Przedewszystkiem należy rozróżnić trzy grupy, mało mające ze sobą wspólnego: 1) właściwe targi, 2) wystawę rolniczo-hodowlaną oraz 3) wystawę t. zw. regionalną. Targi miały charakter całkowicie przygodny. Kupcy i przemysłowcy z rozmaitych stron, nawet z zagranicy, przeważnie bodaj jednak z Wilna i okolic wystawili swe towary i fabrykaty, co kto chciał i mógł. O celowości tego rodzaju jarmarku zadecydować może tylko ilość dokonanych tranzakcyj handlowych. Zdaje się że pod tym względem większość wystawców spotkał dotkliwy zawód. Zresztą każda reklama kosztuje, a podobno w rezultacie opłaca się. Być może więc i spore wydatki, związane z przewozem eksponatów, urządzeniem kiosków, wynajęciem stoisk i t. p. znajdą swe usprawiedliwienie w późniejszych zyskach handlowych, chociaż wydaje się to dość wątpliwem ze względu na opłakany stan ekonomiczny naszego kraju i zawiedzione nadzieje co do pozyskania rynków nadbałtyckich, wskutek zupełnej prawie nieobecności przyjezdnych stamtąd kupców, za których głównie liczyli organizatorzy zbyt szumnie może nazwanych „Targów Północnych”.

Wystawa rolniczo-hodowlana niewątpliwie była o wiele bardziej racjonalna. Ramy jej należało rozszerzyć i na należyte jej zorganizowanie nie żałować sił i środków. Czy mogą wyrokować tylko fachowcy. Profana uderzał brak niemal całkowity na wystawie tak ważnej gałęzi w naszym gospodarstwie, jaką jest ogrodnictwo i sadownictwo.

Największe zainteresowanie wśród szerokiej publiczności budziła t. zw. wystawa regionalna, która miała reprezentować dorobek kulturalny naszego kraju w okresie powojennym. Zgromadzono na niej istotnie bardzo wiele materiału, ale bez należytego planu. Pogoń za doraźnym efektem w wielu wypadkach zastępowała gruntowny i wyczerpujący pokaz. Co prawda zbyt obfita ilość działów stawała na przeszkodzie zorganizowaniu niektórych z nich bardziej starannie i gruntownie. Dotyczy to przede wszystkim działów sztuki wileńskiej i książki wileńskiej, których ramy określono z jednej strony zbyt obszernie, a z drugiej zbyt jednostronnie. Skoro wystawa miała obrazować to wszystko, co zostało u nas dokonane na polu kulturalnym w ciągu ostatniego dziesięciolecia, to dlaczego nadano wymienionym działom charakter retrospektywny sięgający ubiegłych wieków? Brak tu konsekwencji. Oczywiście skutek tak szerokiego ujęcia zadania ucierpiała dokładność jego wykonania. Zwłaszcza daje się to zaobserwować w dziale sztuki.

Kilkadziesiąt zgromadzonych na przedce obrazów dawnych i współczesnych malarzy wileńskich bynajmniej nie daje całkowitego obrazu rozwoju sztuki wileńskiej od końca XVIII wieku. Brak tu dzieł wielu wybitnych artystów wileńskich, jak Smokowskiego, Zametta, Karczewskiego, Rypińskiego, Dobużyńskiego, Czurlonisa, Żmujdzinowicza i wielu innych.

Niektórzy zaś malarze: Rusiecki, Szemesz, Damał, Ślodziński ojciec są reprezentowani zbyt ubogo i bynajmniej nie świetnie. I dlaczego pokaz rozpoczyna Smuglewicz, a nie Czechowicz np.? Znać w urzędzeniu wystawy pośpiech i niedostateczną znajomość dzieł malarstwa wileńskiego. Wogóle pomysł urzędzenia wystawy retrospektywnej sztuki wśród mnóstwa innych działów, w ciasnym lokalu należy uznać za całkowicie poroniony.

To samo mutatis mutandis da się powiedzieć o wystawie druków wileńskich, która również, zamiast się ograniczyć ostatniemu dziesięcioleciu, niepotrzebnie sięgnęła aż do wieku XVI, wskutek czego w małej salce nagromadziło się tyle okazów, że nawet wytrawny bibliograf z trudnością w nich może się zorientować. Przytem nazwa tego działu wystawowego nie odpowiada treści i wprowadzić może w błąd mniej kompetentnych zwiedzających. Nie tylko przecież w języku polskim drukowały się i drukują książki w Wilnie, na wystawie zaś niema innych druków, prócz polskich i łacińskich. A skoro wystawa nosi miano regionalnej i terytorjalnie obejmuje województwa Wileńskie i Nowogródzkie, niesłusznie organizatorzy poprzestali jedynie na drukach wileńskich. Czemuż pominięte zostały Łosk, Oszmiana, Lubcz, Nieśwież, Iwje?

Powyższe dwa przykłady dowodzą, że komitet wystawy regionalnej nie opracował wyraźnego jej planu, pozostawiając poszczególnym wystawcom zupełną swobodę, w rezultacie czego zapanowała dowolność i przypadkowość w całej pełni.

Najbardziej cenny i ciekawy jest dział etnogra-

ficzny i ściśle z nim związany dział przemysłu ludowego. Cóż kiedy ciasne pomieszczenie nie pozwala rozejrzeć się dokładnie w eksponatach!

Zegar p. Sobolewskiego, podobno majstersztyk samouczka – wynalazcy wileńskiego (któremu p. Cz. J. w „Słowie” poświęcił specjalny obszerny feljeton), ulokowany w małym pokoiku gromadził stale dookoła siebie taki tłum, że niżej podpisany, mimo że był na wystawie z 10 razy, nigdy nie mógł się doń dotrzeć i ostatecznie zrezygnował z oglądania tego swojskiego arcydzieła.

Bogaty zbiór samodzielników z rozmaitych okolic naszego kraju również rozmieszczony został w sposób, nie dający możliwości oceny i porównania ze sobą poszczególnych okazów.

Resztę wystawy, poza t. zw. „Salą Honorową”, w której zgromadzono rozmaite muzealne zabytki, jak pergaminy, sztandary, skrzynie cechowe i. t. p. zajęły tablice, wykresy i mapy dotyczące wszystkich bodaj urzędów, funkcjonujących w województwach Wileńskim i Nowogródzkim. Pomysł zgola niefortunny i chybiony. Niewątpliwie cały ten materiał cyfrowy, przedstawiony graficznie zasługuje na to, by go uważnie przestudjować, ale czyż to jest możliwe na wystawie, gdzie panuje zwykle ścisk i tłok, stać z zadartą głową przed setkami tablic? Dobrze to w jakimś wydawnictwie, które można przeglądać spokojnie przy biurku, ale zupełnie zbyt ciężkie na wystawie, którą zwiedzają szerokie tłumy. I co przeciętnego widza może obchodzić np. tablica, wyobrażająca plastycznie, jaką przestrzeń w budynkach rządowych zajmują biura, a jaką mieszkania prywatne?

Ale organizatorom wystawy chodziło widocznie nie o to wcale, by w pamięć zwiedzającej publiczności wraziły się najważniejsze dane cyfrowe, ale o to, by jej zaimponować ogromem pracy, dokonanej przez poszczególne instytucje rządowe. Patrzcie i podziwiajcie, co rząd i państwo zrobiły dla waszego biednego kraju! Takim było, jak się zdaje, założenie wystawy regionalnej. Zwykły śmiertelnik istotnie patrzy i podziwia i tylko bardziej krytyczny unosi pragnienie danych porównawczych, które jedynie pozwolą na ocenę sprawiedliwą poczyniń rządowych.

Sądząc z licznych wynurzeń organizatorów i protektorów wystawy oraz głosów prasy inspirowanej cele demonstracyjno-polityczne przeważały nad względami praktycznymi. Wszakże prof. Rudziński, prezes Ligi Gospodarczej oświadczył wyraźnie w wywiadzie ze współpracownikiem „Słowa”: „Uwzględnienie momentu politycznego przez wykazanie polskości Wilna, co wobec znanego ogólnie stanowiska Litwy jest zawsze kwestią aktualną, nie mogło być pominięte podczas omawiania potrzeby organizowania Targów w Wilnie”. Czy cel ten został osiągnięty? I tak, i nie.

Przedewszystkiem udowodnić, że Wilno jest miastem polskim (a raczej polsko-żydowskim) niema żadnej potrzeby, gdyż prawda ta jest ogólnie znana, zwłaszcza mieszkańcom Wileńszczyzny, z których niemal wyłącznie składała się publiczność wystawowa. Jeżeli efekt ten był obliczony na zagranicę, to został chybiony, gdyż przyjezdni zza granicy zawiedli. A gdyby się nawet zjawili, to odnieśliby przede wszystkim wrażenie, że handel i przemysł miejscowy znajduje się przeważnie w rękach żydowskich. Co się tyczy wsi, to pokaz byłaby i nierogacizny w żaden sposób nie może świadczyć o narodowości ich właścicieli, tkaniny zaś i inne wyroby

ludowe przemawiają raczej wymownie za tem, że ludność miejscowa rdzennie polską nie jest.

Wobec słabego zresztą udziału społeczeństwa w wystawie i olbrzymiej przewagi (poza właściwym jarmarkiem), ekspozatów rządowych mogła być mowa, nie o demonstrowaniu polskości, lecz jedynie państwowości polskiej. Pod tym względem zrobiono wszystko, co można — bezpośrednio i pośrednio za pomocą usługowej prasy, która też w nagrodę została zaproszona przez samego pana wojewodę na czarną kawę z konjakiem. Czy rezultat odpowie oczekiwaniom i włożonym w całą tę imprezę wysiłkom — to pokaże dopiero czas. Wydaje się nam, że o wiele skuteczniejszym sposobem umacniania państwowości jest odpowiedni wymiar podatków i sprawne działanie administracji, niż wykresy graficzne, wykazujące ile tych podatków ściągnięto i ile spraw załatwił wydział bezpieczeństwa.

O efektach wystawowych ludzie prędko zapomną, a bolączki bieżącego życia będą się im i nadal dawały we znaki.

Obserwator.

„Numerus nullus“.

Targi Północne i Wystawa Regionalna są w warunkach naszych niewątpliwie doniosłym wydarzeniem. Mają one razem tworzyć harmonijną całość, odzwierciedlającą życie ekonomiczne i kulturalne dźwigającej się powoli z ruiny i zniszczenia wojennego Wileńszczyzny.

Już sprawiedliwość pospolita merkantylistyczna powinna była podpowiedzieć organizatorom tych imprez, że, o ile się bierze od Żydów na Targach (za stoiska, wstęp i t. d.) pieniądze, które w części idą na pokrycie kosztów urządzenia Wystawy Regionalnej, należy tymże Żydom dać na niej jakieś miejsce. A czy nie można również powołać się na sprawiedliwość państwową i wyższą, która winna była przyświecać imprezie, znajdującej się pod najwyższym protektoratem państwowym wogóle, a imprezie kulturalnej w szczególności?

Niestety zwiedzający wystawę Żydzi z rozgoryczeniem opuszczają mury Bernardyńskie w przeświadczeniu, że w stosunku do ludności żydowskiej panują u nas dotąd odmienne pojęcia sprawiedliwości.

Wystawa regionalna czyli *krajowa*, a przecież wystawa wileńska do tego miana chce pretendować, winna zobrazować właściwości kulturalno-społeczne kraju i ludności, ten kraj zamieszkującej. Cóż jednak widzimy na Wystawie Regionalnej u nas? Żydów jako kulturalno-społecznej grupy ludności w Wileńszczyźnie niema wcale... Nadaremnieby kto szukał w murach Bernardyńskich śladu tutejszego żydowskiego życia cywilizowanego. Nie znajdzie. Obchodzimy sale wystawowe wszystkich pięter, oglądamy uważnie ekspozaty wszystkich działów: etnograficzne, reprezentacyjne, wyznaniowe, artystyczne, drukarskie i t. d. i trudno przy tem nie podziwiać, jak *systematycznie* ignorowano Żydów jako narodowość, a nawet jako wyznanie. Nawet w najbardziej zarzuconym kącie najodleglejszego korytarza... Nie będziemy się spierać, czy Żydzi w Wilnie stanowią 40%, czy 35% czy też 30% ludności. Pozostaje przecież faktem, że wystawa kultury pominęła zupełnie tak znaczny odłam kulturalnie czynnej ludności.

Nie niedoceniamy wpływu kultury polskiej

w Wilnie, nie przeceniamy również zdobyczy kultury żydowskiej w tym kraju. Nie mniej jednak posiadamy spory i trwały dorobek kulturalny, który Żydzi, od wieków na tej ziemi osiadli, w ciągu tych wieków *tu* stworzyli. Mamy co pokazać i jest co widzieć.

Jednemu koledze, współpracownikowi pisma warszawskiego, na zapytanie, dlaczego niema na wystawie druków hebrajskich i żydowskich (nota bene widzieliśmy natomiast na *Wystawie* nawet rękopisy *arabskie*...), odpowiedziano, że druki takie się znajdują... w Bibliotece Straszuna. Ale, na litość boską, przecież od tego są wystawy, by nie trzeba było chodzić po bibliotekach. Dlaczegoż się nie zwracano do *żadnej* żydowskiej instytucji *kulturalnej* w Wilnie o udział w Wystawie Regionalnej? Zresztą jeśli chodzi o druki, to nawet w samej Bibliotece Uniwersyteckiej można było znaleźć wileńskie druki hebrajskie i żydowskie godn.: wystawienia na *wileńskiej* wystawie. Piszący niniejsze wiersze niejedną rozprawkę poświęcił w pismach Żydowskiego Instytutu Naukowego w Wilnie rzadkim okazom „wilnianów” żydowsko-hebrajskich, o wybitnym charakterze regionalnym, które się znajdują właśnie w zbiorach Uniwersytetu.

Drukarstwo było polem, na którym Żydzi wileńscy byli najbardziej czynni w XIX w. Skądinąd*) wiemy, że były wtedy momenty, kiedy roczna produkcja druków hebrajsko-żydowskich w Wilnie *przewyższała* analogiczną produkcję wileńską we wszystkich innych językach razem wziętych. Żydzi nadto położyli na tem polu zasługi także dla piśmiennictwa polskiego na Litwie, że wspomnę słynnego Zymła.

Od stu przeszło lat hebrajsko-żydowskie druki wileńskie torują sobie drogę przez morza i oceany do krajów całego literalnie świata. Ale otóż w roku 1928 nie znalazły one jeszcze drogi na Wystawę Regionalną w samym Wilnie... Fakt bardzo smutny.

Za dalekoby nas zaprowadziło, gdybyśmy w ten sposób omówili wszystkie działy wystawy. Na jeden tylko jeszcze szczegół chcę zwrócić uwagę. Wśród licznych świątyń różnych wyznań, nawet egzotycznych, które ozdabiają tu i ówdzie ściany korytarzy wystawowych, niema *żadnego* zdjęcia synagogi żydowskiej. Nawet pięknej i niezwykle oryginalnej drewnianej bóżnicy w Olkienikach. A przecież wiemy, że organizatorzy wystawy łatwo mogli dostać takie zdjęcia chociażby z tych że zbiorów prof. Remera..

Wiemy, że do komitetu organizacyjnego Targów i Wystawy należą także osobistości, których dobrej woli i braku szowinizmu nie chcemy kwestjonować. Jak to jednak pogodzić z systemem „*numerus nullus*” w stosunku do Żydów — trudno bowiem oprzeć się wrażeniu i nie nazwać rzeczy po imieniu — który leży u podwalin Wystawy Regionalnej?

Nie jesteśmy izolowani. Poza murami Bernardyńskimi znaleźli się z małemi wyjątkami także Białorusini i Litwini. O ile jednak wiemy, do tych w ten lub inny sposób się zwracano, podczas gdy w stosunku do Żydów nie poczuwano się nawet do najmniejszego kroku kurtuazyjnego. A czy od chwili, gdy w mieście zaczęto jawnie mówić o tem „*przeoczeniu, nieuniknionem przy imprezach tego rodzaju*”... nie można było choć częściowo tego, że nazwiemy skromnie, nietaktu wobec tak znacznego odłamu

*) Por. P. Kon, „Działalność cenzury wileńskiej w roku 1863” w żydowskim miesięczniku bibliograficznym „Bicher Welt” (Warszawa 1928, zeszyt sierpniowy).

współobywateli naprawić, gdyby... gdyby się tylko chcieli?

Wileńska Wystawa Regionalna demonstruje wobec Żydów krańcowy ekskluzywizm kulturalny i społeczny. P. Kon.

Cyfry i wnioski.

Ostatni zeszyt (Nr. 4) „Źródeł Mocy”, wydany w końcu sierpnia zawiera dwie ciekawe prace, uzupełniające się wzajemnie: „Wileńska bibliografia regionalna w I półroczu 1924 r.” dr. Adama Łysakowskiego, wice-dyrektora Biblioteki Uniwersyteckiej oraz „Bieżące polskie czasopiśmiennictwo wileńskie” dr. Stefana Rygla, dyrektora tejże biblioteki. Obaj autorzy, rozporządzając materiałem zaczerpniętym ze źródeł urzędowych, zobrazowali stan obecnej produkcji wydawniczej wileńskiej w ścisłych cyfrach, które pozwoliły im na wyciągnięcie pewnych wniosków ogólnych, szkoda tylko, że opartych na założeniach nie uzgodnionych ze sobą.

Bo gdy p. Łysakowski w swych zestawieniach statystycznych jako podstawową cechę druku obrał jego język, powieaż „odrębność językowa pozwala wysnuwać najważniejsze bodaj wnioski w dziedzinie ogólnie kulturalnej, społecznej i politycznej”, p. Rygiel utrzymuje przeciwnie, że przy klasyfikacji czasopism opierać się należy nie na ich języku, lecz na narodowej sferze ich pochodzenia, przytaczając jako przykład wydawany po polsku dwutygodnik litewski „Życie Ludu”. Kto ma tu słuszność? Kwestja bardzo trudna do rozstrzygnięcia.

Stojąc na stanowisku dr. Rygla jest się niewątpliwie bliżej prawdy, ale ta metoda ma tę wadę, że wprowadza do obliczeń czynnik subiektywny, i posługując się nią dwaj statystycy mogą dojść do odmiennych rezultatów.

Język, jako cecha wyróżniająca przy klasyfikacji druków, daje rezultaty bardziej obiektywne, ale znów nie pozwala na ogólne wnioski w dziedzinie kulturalnej i politycznej, które w tych warunkach słusznie mogą być zakwestjonowane. Tak lub owak byłoby pożądanym, aby obaj bibliografowie uzgodnili swe poglądy i metody.

Bibliografia regionalna, przedstawiona przez p. Łysakowskiego posiada jeszcze tę ujemną stronę, że obejmuje teren czterech województw, w tem województwa Białostockiego, w skład którego wchodzi, jak wiadomo, b. gub. Łomżyńska, nie mająca nic wspólnego z naszym krajem, która to okoliczność nadaje owym ogólnym wnioskom p. Łysakowskiego wartość mocno problematyczną i zmusza do wyeliminowania z pracowicie przezeń ułożonej tabelki danych, dotyczących samego Wilna, co zresztą daje się skutecznie tylko w jednej ogólnej rubryce.

W swych wykazach statystycznych p. Łysakowski operuje danymi cyfrowymi, dotyczącymi wyłącznie ilości druków, z pominięciem wysokości ich nakładu. P. Rygiel natomiast uwzględnił w swych zestawieniach również wysokość nakładu szeregu dzienników, czasopism, kalendarzy i t. p. Mamy poważne wątpliwości, czy urząd prasowy, który udzielił tych informacji p. Ryglowi, miał prawo to uczynić. Wysokość nakładu jest tajemnicą handlową, nieraz zazdrośnie strzeżoną przez wydawców. Drukarnie są obowiązane komunikować urzędowi prasowemu ilość odbitych przez nie druków, ale jedynie dla wiado-

mości tego urzędu. Ogłaszanie tych danych jest, łagodnie mówiąc, niedyskrecją, taką samą, jaką byłoby udzielenie prywatnej osobie przez urząd podatkowy informacji o stanie finansowym jakiegoś przedsiębiorstwa. Nie znamy dokładnie jednoznacznych przepisów prasowych, ale logika i praktyka czasów przedwojennych upoważniają do przypuszczenia, że referenci prasowi Starostwa Grodzkiego, którym p. Rygiel imiennie dziękuje za dostarczone informacje, popełnili poważne wykroczenie służbowe.

Jeszcze jedna uwaga pod adresem artykułu p. Rygla. W swej charakterystyce poszczególnych czasopism autor podaje o dwutygodniku „Życie Ludu” następującą opinię: „Większość materiału pochodzi ze skracanych i przerabianych artykułów litewskiego miesięcznika polityczno-literackiego „Vilniaus Varpas”. Skąd p. Rygiel zaczerpnął podobną wiadomość? Nie znając języka litewskiego nie mógł taki-go wniosku wysnuć z własnej obserwacji, najwidoczniej więc został wprowadzony w błąd przez jakiegoś niesumiennego informatora. Czytając stale oba te pisma możemy zapewnić kategorycznie autora, że nie tylko „Życie Ludu” nie jest trawestacją „Viln. Varpas”, ale bardzo często nawet różni się z nim: w poglądach na zagadnienia bieżące.

Po tych niezbędnych zastrzeżeniach przechodzimy do wykazów statystycznych podanych przez obu autorów.

Z artykułu p. Łysakowskiego dowiadujemy się, że ogółem w ciągu pierwszego półrocza b. r. wykazała bibliografia wileńska regionalna 394 pozycje, w tem 20 nowych czasopism (wychodzące już od lat poprzednich nie są uwzględnione). Z tego przypada 280 czyli 71 proc. na język polski, 9 i pół proc. na język żydowski i hebrajski, 9 proc. na białoruski, 4 proc. na rosyjski, 3 i pół proc. na litewski i 3 proc. łącznie na inne języki. Powyższy stosunek procentowy ulegnie jednak zmianie, jeżeli wyeliminujemy z tych obliczeń druki, tłoczone w Łomży, Białymstoku, a do pewnego stopnia również w Pińsku i Brześciu n. B. W samym Wilnie, które jedynie może być miarodajne dla stosunków narodowościowych w naszym kraju ilość druków, która wynosi 308 według języka dzieli się jak następuje: w języku polskim 211, białoruskim 33, żydowskim 31, litewskim 13, rosyjskim 12 i w innych językach 8. A gdy nadto weźmiemy pod uwagę to, co mówił o języku wydawnictw wileńskich dr. Rygiel, będziemy usposobieni nader krytycznie względem ryzykownego twierdzenia dr. Łysakowskiego, ujętego w formę następującego retorycznego pytania: „Wynik taki, utwierdzony przez szereg lat, czyż — przy konstytucyjnej wolności słowa — nie nadaje bibliografii głosu politycznego w myśl nowoczesnej zasady, że o przynależności danych ziem stanowią efekty produkcyjnej pracy, a nie ilość zamieszkujących je konsumentów?”

Bardziej ostrożny jest dr. Rygiel, który przytoczywszy poniższą tabelkę

	Czasopisma	Czyli %	O przeciętnej wydajności nakładu	Czyli % nakładu
Polacy	57	55,88	96,735	48,75
Białorusini	19	18,62	52,000	26,21
Żydzi	12	11,76	31,000	15,67
Litwini	11	10,78	14,405	7,26
Rosjanie	3	2,94	4,170	2,10

dochodzi jedynie do wniosku, że „wymowa tych cyfr ma sens, zupełnie jasno wydobywający przewa-

gę polskości w kulturze Wilna i Wileńszczyzny". Ale pod tym względem nikt chyba nie ma wątpliwości, zważywszy na podział narodowościowy ludności miejscowej według jej przynależności społeczno-klasowej. Chodzi jedynie o stopień tej przewagi. Krytyczny rzut oka na dane przytoczone przez p. Rygla nasuwa refleksje, bynajmniej nie tak optymistyczne, jak by się mogło wydawać z pozoru.

Nie należy bowiem zapominać, że do rubryki czasopism polskich zostały zaliczone wszystkie czasopisma urzędowe i półurzędowe oraz naukowe, wydawane przez Uniwersytet, instytucję również rządową. Nie mogą one być w żaden sposób miarodajne dla wysiłku kulturalnego miejscowego społeczeństwa polskiego. Jeżeli więc odejmiemy 11 czasopism urzędowych o nakładzie 12,300 egz., 7 czasopism uniwersyteckich o nakładzie niewiele więcej 3,400 egz., takie wydawnictwa specyficzne, jak Komunikat Związku pracowników Poczty i Telegrafów lub Kalendarz-Poradnik Kolejowca Polskiego w ilości 9 o nakładzie niewiele więcej 15,000 egz., to ilość właściwych czasopism polskich, zaspakających potrzeby miejscowych czytelników polskich zredukują się do cyfry 30 o nakładzie 60.000 egz. Cyfra to raczej zbyt wysoka, niż za skromna, gdyż obejmuje ona i tego typu gazety, jak „Express Wileński”, którego zaledwie jedna strona może być zaliczona do czasopism wileńskich, trzy czwarte zaś należą do prasy warszawskiej.

W ten sposób stosunek procentowy ilości czasopism oraz wysokości ich nakładu według grup narodowych będzie się przedstawiał nieco inaczej, a mianowicie w okrągłych cyfrach:

	Ilość czasopism	o/o	Wysokość nakładu	o/o
Polacy	30	40	60,000	37
Białorusini	19	25,3	52,000	32
Żydzi	12	16	31,100	19,8
Litwini	11	14,7	14,400	8,8
Rosjanie	3	4	4,200	2,4

Prasa polska oczywiście góruje zarówno ilościowo, jak pod względem wysokości nakładu, ale zważywszy na siły materialne i umysłowe, jakimi rozporządza społeczeństwo polskie w porównaniu do społeczeństwa białoruskiego np. trudno się oprzeć zdziwieniu z powodu tak nieznacznej przewagi. A jakby sytuacja się przedstawiała, gdyby język polski nie był językiem państwowym? Wcale niema z czego być dumnym.

Karol Waga.

Bibliografia.

Czarnecki J. *Wilno w dziejach książki polskiej*. Wilno. 928. Nakładem i drukiem Józefa Zawadzkiego. Str. 24.

Niewiedzieć z jakich powodów autor niniejszej broszury p. T. Turkowski, dyrektor seminarjum nauczycielskiego ukrył się pod pseudonimem J. Czarneckiego. P. Cz. J. w „Słowie” utrzymuje, że uczynił to przez skromność. Ale w takim razie olbrzymią większość pisarzy, ponieważ drukują swe prace pod własnym nazwiskiem, wypadłoby posądzić o żądę rozgłosu i nadmierną ambicję, a przecież znamy wielu cichych i skromnych pracowników pióra, któ-

rzy nie uważają za potrzebne ukrywać swego autorstwa. Może raczej p. Turkowski (tajemnicę pseudonimu zdradził p. Cz. Jankowski w „Słowie” i informację tę powtarzamy na jego odpowiedzialność) nie chciał prezentować się po raz pierwszy czytelnikom i krytykom w roli autora drobnej pracy o charakterze popularnym, lecz popularyzacja wiedzy to nie jest bynajmniej funkcja zasługująca na lekceważące traktowanie, a w dodatku nie brak w omawianej broszurze materiałów opartych na badaniach samodzielnych.

Do tych należy przede wszystkim obliczenie druków wileńskich w ciągu XIX w. na podstawie Bibliografii Estreichera, które w formie wykresu graficznego figuruje również na Wystawie Regionalnej. Z tego obliczenia wynika, że cała produkcja wydawnicza Wilna w dziewiętnastym stuleciu wynosi zaledwie 5103 druków, gdy w takim Poznaniu samych druków polskich wydano w tym samym okresie przeszło 6000!

Oczywiście na Bibliografii Estreichera nie można zupełnie polegać, jeżeli chodzi o produkcję wydawniczą wileńską *wogóle*, nie wyłącznie polską, bo Estreicher druki w obcych językach uwzględniał o tyle, o ile one dotyczyły Polski (respective Litwy i Rusi), w Wilnie zaś od 1864 aż do r. 1906 drukowano przeważnie w języku rosyjskim. O języku żydowskim i hebrajskim oczywiście nawet mowy niema; wskutek czego w wykazie p. Turkowskiego w ciągu całego szeregu lat z końca XIX w. figuruje po kilkanaście pozycji rocznie! W latach 1887, 89 i 91 np. miało ukazać się w Wilnie po 2 druki tylko... Szczególniej rażąco tego rodzaju statystyka wygląda na wykresie graficznym, zawieszonym na wystawie. Jeżeli nie było innych źródeł prócz bibliografii Estreichera, należało poprzestać na obliczeniu produkcji wydawniczej wyłącznie w języku polskim i łaćkińskim.

Pozatem miałbym pewne zastrzeżenia przeciwko zbyt powierzchownemu ujęciu przez autora roli Wilna, jako ośrodka kulturalnego, w którym się krzyżowały wpływy polskie, ruskie i litewskie. Miało ono znaczenie o wiele głębsze i szersze, niż „ogniska uczuć i wierzeń narodu polskiego”. Ta okoliczność, że tu byli czynni i drukowali swe prace Skarga, Lelewel, Sniadeccy i wielu innych pisarzy i uczonych polskich, ma charakter przypadkowy i nie może być brana pod uwagę przy ocenie Wilna jako źródła samodzielnej i odrębnej twórczości, której najmocniejszym wyrazem są poezje Mickiewicza i Syrokomli. Ale co prawda, studjum na ten temat wykraczałoby poza ramy, jakie sobie zakreślił p. Turkowski. Nie można o to mieć doń pretensji.

Broszura stanowi doskonały komentarz dla zwiedzających pokaz bibliofilski na Wystawie Regionalnej.

Rosiak Stefan. *Bonifratrzy w Wilnie (1635—1843—1924)*. Szkic z dziejów opieki społecznej w Wilnie. Wydane staraniem Konwentu Wileńskiego o. o. Bonifratrów. Wilno 1928. Str. 101 + XXII.

Coraz więcej przybywa cennych przyczynków do dziejów Wilna. Praca p. Rosiaka zajmie niewątpliwie poczesne miejsce w szeregu monografij, poświęconych rozmaitym przejawom życia kulturalnego, społecznego i politycznego w stolicy W. Ks. Litewskiego.

Znaną jest ogólnie doniosła rola, jaką odgrywały u nas zakony w dawniejszych wiekach. W Wilnie, w wieku XVII i XVIII zwłaszcza, klasztory, i zakonnicy stanowili czynnik niezmiernie doniosły,

który głęboko zaważył na kształtowaniu się psychiki i charakteru ludności miejscowej. Bez przesady rzecz można, że dzieje wewnętrzne Wilna w tym okresie zamykały się w kronikach klasztornych. Niestety historia zakonów wileńskich jest dotąd mało zbadana i z wyjątkiem jezuitów nie wiele więcej wiemy o nich, niż to, co podał Kraszewski. Z tem większem przeto uznaniem należy powitać oświetlającą działalność najbardziej uspołecznionego zakonu bonifratrów.

Zawodowi historycy poddadzą zapewne krytycznej ocenie wartość naukową monografii p. Rosiaka. Zdaje się, że pod względem metody naukowej nie pozostawia ona nic do życzenia. Wszystkie możliwe źródła zostały wyzyskane i zbadane krytycznie. Mnóstwo szczegółów, zaczerpniętych z archiwów po raz pierwszy zostało ogłoszonych drukiem.

Dowiadujemy się więc, że bonifratrów do Wilna sprowadził w r. 1635 biskup Abraham Woyna, prymas W. Ks. Litewskiego, jak go tytułuje autor żywota Św. Jana Bożego. Szczegół to, nawiasem mówiąc, bardzo ciekawy, dotyczący zresztą zgoła postronnej kwestji: wielokrotnych zatargów biskupów wileńskich z arcybiskupami gnieźnieńskimi o tytuł prymasa Litwy.

O początkowych dziejach konwentu wileńskiego nie wiele zachowało się wiadomości, dopiero od r. 1709 mamy dokładniejsze o nim dane, gdyż zachowała się do naszych czasów księga chorych w szpitalu klasztornym, rozpoczęta w tym samym roku. Wzrastały fundusze, zakon rozwijał swą działalność, polegającą na pielęgnowaniu chorych i opiece nad starcami. Cieszył się też wielkiem zaufaniem i popularnością wśród ludności wileńskiej. Szpital bonifratrów przez długie lata swego istnienia prowadził działalność leczniczą wszechstronnie, dopiero pod koniec swego żywota specjalizuje się i przekształca w szpital dla umysłowo chorych i jako taki przechodzi, po kasacie konwentu wileńskiego w r. 1843, pod administrację rządową.

Powrót bonifratrów do Wilna nastąpił w r. 1924 za rządów biskupa Matulewicza, o czem autor wspomina w następujących charakterystycznych słowach: „Ś. p. biskup wileński Jerzy Matulewicz z entuzjazmem odniósł się do myśli powrotu zakonu i, mimo zarzucanej mu nieraz litwomani (?), już 20 maja 1924 r. kościół Św. Krzyża, będący w posiadaniu ludności litewskiej, oddał zakonowi...”

Obecnie konwent liczy zaledwie 4 braci i procesuje się z magistratem o zwrot murów klasztornych, w których się mieści przytułek starców.

Uwagi autora na ten temat o charakterze aktualno-polemicznym w pracy historycznej wydają się mi niezupełnie stosowne. Oto jedyny zarzut, który się mi nasunął przy pobieżnem przejrzaniu książki.

a.

KRONIKA

Chwilowe zawieszenie. Wielkie wrażenie wywołało rozporządzenie starosty grodzkiego z d. 29 sierpnia b. r., zawieszające działalność centralnego zarządu T-wa Szkoły Białoruskiej w Wilnie. Konserwatywna i nacjonalistyczna prasa polska powitała z entuzjazmem ten krok władz administracyjnych, wyrażając nadzieję, że nastąpią dalsze zarządzenia, które spowodują całkowitą likwidację tej organizacji. „Dziennik Wil.”

zamieścił nawet artykuł rewelacyjny, dowodzący, że T-wo Szkoły Białoruskiej przejęło wszystkie agendy b. „Hromady”, że było ono subsydjowane przez Mińsk i że akcja oświatowa prowadzona była przez nią tylko pozornie, dla zmylenia czujności władz. Dziennik przytoczył na poparcie swych twierdzeń m. i. taki sensacyjny szczegół, jak prowadzenie przez zarząd T-wa podwójnej buchalterji, jednej rzeczywistej dla siebie i drugiej fikcyjnej dla władz.

Jakże musiały czuć się skonfundowane te same pisma, gdy w tydzień później decyzja p. starosty została uchylona przez p. wojewodę i T-wo wznowiło swą działalność! Widocznie przytoczone przez „Dziennik Wil.” fakty występnych czynów ze strony T-wa w rzeczywistości wyglądają inaczej, bo trudno przecież przypuścić, aby władze tolerowały organizację tak szkodliwą i zdecydowanie wrogą. Tak zresztą należy sądzić z komunikatu urzędowego i oświadczenia naczelnika wydziału bezpieczeństwa p. Kirtiklisa, w których jest mowa jedynie o „wpływach elementów antypaństwowych i wyrotowych” i które nie podają konkretnie sformułowanych zarzutów. Zbytnia gorliwość prasy wileńskiej naraziła ją w tym wypadku na kompromitację.

Wyróżnienie kapłana-Białorusina. Znany w szerokich kołach ks. prałat F. Abrantowicz, przebywający ostatnio w klasztorze marjanów w Druł, został mianowany biskupem w Charbinie. Przed wyjazdem do swej diecezji przyjęty był przez Papieża na dłuższej audjencji. W sferach katolickich nominacja ta uważana jest za nader charakterystyczną dla stosunku Watykanu względem Białorusinów.

Dla idei czy dla pieniędzy? Omawiając wystawę hodowlaną w Wilnie p. Michał Obieziński w „Słowie” woła z entuzjazmem pod adresem właścicieli wielkich obór: „Zywiecielom—część!” Za co im składa autor hold publiczny? A no za to, że zaopatrują Wilno w mleko i masło, ciągnąc z tego źródła olbrzymie zyski. Z równą słusznością ktoś inny znow mógłby wnieść okrzyk na cześć fabrykantów łódzkich i bielskich, bo dostarczają nam tkanin, albo na cześć garbarzy i szweców wileńskich, bo zaopatrują nas w obuwie. Jeżeli będzmy składali tego rodzaju holdy wszelakim producentom, mającym na względzie przedewszystkiem własny interes, to jak uczymy te ofiarne jednostki, które poświęcają swe sily i środki dla dobra społecznego?

Z braku środków. „Sialanskaja Niwa”, organ posłów białoruskich Jaremicza i Rohuli podobno z braku środków od dłuższego czasu już się nie ukazuje. Czy jest to czasowa przerwa, czy też ostateczna likwidacja pisma — wykaże niedaleka przyszłość.

Niezrozumiała agitacja. „Kurjer Wileński” donosi pod datą 9 b. m. „W ostatnich dniach na terenie pow. Święciańskiego władze bezpieczeństwa skonstatowały, iż wśród ludności litewskiej przez nieznanych agentów szerzone są wiadomości, jakoby premier litewski Voldemaras żądał od władz polskich zgody na obsadzenie przez wojska litewskie tych granic Wileńszczyzny gdzie zamieszkuje ludność litewska. Wzajemnie za to wojska polskie miały zająć gminy polskie na zachód od gminy janiskiej położone na terytorjum Litwy Kowieńskiej. Szerzone są pogłoski, iż na ten projekt nie chcą się zgodzić jedynie Polacy”. „Cel agitacji jest najzupełniej zrozumiały” — konkluduje „Kurjer Wileński”. Dla nas absolutnie nie.

Nowe komplikacje. Czytamy w „Słowie”: „Jak wiadomo prawosławny arcybiskup Eleuterjusz, który rezydował w Wilnie przed wojną jeszcze, nie chciał uznać autokefalji Cerkwi prawosławnej w Polsce, za co został usunięty ze swego stanowiska i udał się do Kowna. Ponieważ poprzedni tytuł rezydującego w Wilnie arcybiskupa wileńskiego brzmiał oficjalnie: „arcybiskup litewski i wileński”, archidiecezja wileńska zaś obejmowała całą Litwę łącznie z Wilnem, rząd kowieński chętnie przyjął prawosławnego arcybiskupa dając mu przytułek, pozwalając mu sprawować swą funkcję arcybiskupią na terenie Litwy Kowieńskiej, wyzyskując jednocześnie tytuł „litewski i wileński” oraz starowisko jego, nie uznając rozdziału między Wilnem a Kownem dla celów politycznych.

Obecnie nadeszła z Kowna wiadomość, że Valdemaras przyjął delegata rosyjskiej mniejszości w Litwie b. gubernatora Wieriowkina, któremu oświadczył, iż poczynił kroki celem zatwierdzenia arcybiskupa, jako biskupa wileńskiego przez pełniącego obecnie funkcję patriarchy prawosławnego w Moskwie Sergiusza Sergiusz zamierza prócz tego rozszerzyć kompetencję arcybiskupa Eleuterjusza i nadać mu specjalne jurysdykcje”.

Zręczne to posunięcie rządu litewskiego może przysporzyć rządowi polskiemu znacznych kłopotów, wywołując w łonie duchowieństwa i wyznawców Cerkwi prawosławnej na terenie Białorusi zachodniej ostre tarcia i walki